Lwów, 26. maja 1894. IV. Rok istnienia.

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi we Lwowie:
Rocznie . . . 6 złr. — ct.
Półrocznie . . 3 „ — „
Kwartalnie . . 1 „ 60 „
Miesięcznie . . — „ 60 „

Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.

Numer pojedynczy kosztuje 20 ct.

Rękopisów drobnych nie zwraca się

Listów nieopłaconych Redakcya nie przyjmuje.

MYŚL

DWUTYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY.

Prenumerata na prowincyi i w całej Austro-Węgierskiej monarchii wynosi.
Rocznie . . . 6 złr. 50 ct.
Kwartalnie . . 1 „ 65 „

w Niemczech: rocznie 14 marek półrocznie 7 m. kwartalnie 3 50.

We Francyi:
Rocznie 16 fr.— kwartalnie 4 fr.

Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „Myśli“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct za następny.

Redakcya i Administracya znajdują się we Lwowie przy ul. Akademickiej l. 11 gdzie też uprasza się o nadsyłanie wszelkich przekazów i pism. — Prenumeratę przyjmują również we Lwowie wszystkie księgarnie. — W Krakowie: księgarnie: Gebetnera i Spółki, Spółki wydawniczej, Zwolińskiego i Spółki i J. A. Krzyżanowskiego. — W Poznaniu: księgarnia Cybulskiego. — Numera pojedyncze do nabycia we Lwowie w biurach dzienników: Plohna i Olszewskiego.

OBŁĘDY SPOŁECZNE.

I.

Wdzięcznego podjąłby się zadania, ktoby mógł i chciał napisać choćby pobieżne dzieje objawów społecznych w Europie od lat trzydziestu. Ale gdyby kto chciał to zrobić, powątpiewanoby o jego bezstronności. Gdyby zaś znalazł się w położeniu zupełnie bezstronnego widza i postrzegacza, to mógłby wprawdzie zadaniu podołać, ale naraziłby się wszystkim. Nie nowina to bowiem, że kto mówi prawdę, zyskuje nie wdzięczność, ale mnóstwo nieprzyjaciół. Wiadomo również, że prawda wśród prądów sprzecznych i roznamiętnienia, nie znajduje nigdy cierpliwych słuchaczów.

Otwierać oczy człowiekowi, w którego źrenicach pali się ogień trawiącej gorączki lub szału — daremne usiłowanie. Chcieć uśmierzać gniewy, gdy umysły i serca przenika nienawiść — zadanie także niepopłatne. A jednak w takiem położeniu znajduje się dziś przeważna część społeczeństw europejskich.

Społeczeństwo nasze, polskie, nie ustrzegło się także prądów równorzędnych scharakteryzowanym wyżej. Że nam z tem gorzej i trudniej, niż innym, to oczywista. Gorzej i trudniej, bo inne są organizmami politycznie samodzielnymi, my zaś organizmem takim nie jesteśmy. Samodzielny może nie tylko reagować, ale może i działać, bo ma środki po temu, środki moralne i cenione dziś nadewszystko, środki materyalne. My zatem postawieni równorzędnie w obec złego, które nurtuje, jesteśmy zarazem nierównomiernie słabsi w porównaniu z potęgami samodzielnemi.

Nasza broń zatem, jest bronią jedynie moralną. Co więcej, trudniej nam nawet zdobyć się na bezstronność. Ale w położeniu tem pocieszać się możemy objawem, bądź co bądź dobrym o tyle, że stronnictwom, uznającym oświatę za kotwicę ratunku, przybywa zwolenników. Są zwolennicy rozumiejący cel ostateczny i są domyślający się, że w ciemnościach trudniejsza jest egzystencya zarówno dla jednostki, jak i dla całych społeczeństw.

Gorszym już objawem jest fakt, że pomiędzy zwolennikami oświaty, znajdują się i faryzeusze. Po cichu ubolewają ciągle, że, mówiąc językiem zacnego zresztą śp. Poczobuta, „pospolitują się nauki.“ Głośno zaś przyjmują oświatę, jako złe konieczne. Dlaczego? Bo świadomość ogółu prowadzi zwykle do reform. Obawiając się przeobrażeń — zgoła nie gwałtownych, pomawiają o złe zamiary najzacniejszą nawet dążność do jakiejkolwiek reformy.

Przy dobrym tedy objawie, zaznaczonym wyżej, ten drugi niedobry i szkodliwy przedstawia się nam jako kula u nóg i kamień, za ciężki dla społeczeństwa niesamodzielnego. W moralnych więc środkach, któremi rozporządzamy, jest owa nieruchomość i niechęć faryzeuszów czynnikiem ujemnym. Nie widząc własnej szkody, dziwniejsza, iż nie przewidują jej dla swego potomstwa. Inaczej bowien podziałałaby broń moralna ludzi, szczerze pragnących dobra ogółu, gdyby broni tej nie paraliżowała niechęć i podejrzenia zwolenników zastoju.

Społeczeństwu politycznie zależnemu, czyli jaśniej, społeczeństwu nieposiadającemu zapasu środków, któremi władać może ogranizm polityczny, pozostaje tylko zakres pracy na niwie narodowej. Ale i ten zakres tam jedynie, gdzie narodowość uznają potęgi możniejsze. Trudno więc niezmiernie tam, gdzie w imię zadań i obowiązków narodowych nie można zjednoczyć sił, bo je rozrywają sprzeczności w dziedzinie zadań społecznych i ogólno ludzkich. Nie mniej a bardziej jeszcze utrudnia te zadania wprowadzanie do polityki pobudek religijnych, i całej dyplomacyi, wynikającej z tych pobudek i uzurpującej sobie prawo do stwarzania politycznych dogmatów. A wszakże można być bardzo dobrym członkiem Kościoła powszechnego, a jednak wiedzieć i widzieć, że w polityce maksym być nie może. Nie może być tembardziej dogmatów, bo polityka, obok nauki, jest sztuką. Geniusze artyzmu stwarzają arcydzieła. W polityce tylko ge-

niusz polityczny pomaga stworzyć i stwarza byt polityczny dla swego narodu.

Po co te uwagi wstępne? Po to, że idzie o wykazanie czem się osłabia same społeczeństwo i jak trudną jest walka, gdy się lekceważy zasadnicze programy w polityce.

Wszystko to utrudnia prace, trzeba zatem mówić z góry o przeszkodach, których w uwagach dalszych dotkniemy szczegółowo. Szczegóły zaś te dowiodą, na jakiej drodze, wyradza się atmosfera obłędów społecznych.

W jednej ze strof Beniowskiego, zapytuje Słowacki, zkąd się wzięła „melancholia?“ a wyłuszczając przyczyny jej, przyznaje się do bajronizmu. Ogrom klęsk i smutków były przyczyną owego usposobienia. My zaś zapytując, zkąd się wziął w ostatniem trzydziestoleciu u nas pesymizm, odpowiemy:

Szczepili go mimowiednie zrozpaczeni, szczepiła go ambicya prowincyonalnych dyplomatów i polityków, szczepiła zła wola posługująca się pozornemi prawdami, szczepili ludzie niekiedy bardzo zdolni, ale tacy, którzy umiłowali bardziej swoje doktryny i pomysły, niż istotną przyszłość i dobro narodu. Wstąpili oni odrazu na grunt już przygotowany do przyjęcia rozpaczliwych zapatrywań i do przyjęcia potulności i pokory w sprawach politycznych. Grunt ten bowiem przygotowały w społeczeństwie klęski, zwątlenie sił fizycznych, wyczerpanie zasobów materyalnych a zatem idące także obezwładnienie sił moralnych. W położeniu tem brakło reagowania sił nieskazitelnych, nie tego systematycznego, lecz objawiającego się wybuchami namiętności. Kiedy zaś odezwało się rozumne i uczciwe, i umiarkowane, to je ośmieszano.

Amatorowie śmiechu z ran wiedzieli, co czynią Ale zwolennicy ich nurzali się w orgiach wyszydzania bezmyślnie. Oklaski zagłuszały rozum stanu. Ambicye rosły jak cedry Libanu. Od ambicyi tylko krok do uzurpatorstwa. Dobrze zorganizowana uzurpacya postarała się następnie o zorganizowanie systemu despotycznego nad społeczeństwem. Kraj żył pod systemem konstytucyjnym, społeczeństwo pod absolutyzmem, wyszłym z jego krwi i kości. Ale dla osłodzenia trucizny nazwano ten teroryzm i absolutyzm — karnością narodową.

Taki stan zachęcał do coraz śmielszych porywów. Pielęgnowano też starannie zwątpienie generalne. Jedynem hasłem było zdanie, że tylko przypadek, tylko jakieś nadzwyczajne konstelacye w polityce ogólnej mogą nas wydobyć z rozpaczliwego położenia.

Kazano tedy wierzyć w nicość. Że zaś z niczego zawsze nic, toż i we względzie czysto politycznych nabytków, politycznego rozumu i dojrzałości, nie zdobyło społeczeństwo nowego kapitału moralnego.

W takim stanie na półapatycznym, na poły tłumionego sztucznie zwątpienia, zastały nas nowe prądy. Co z nich weszło w umysły? To, co najgorsze, co ujemne.

Oto naprzód fanstyzmy odradzające się u góry, oparte na pobudkach obcych interesom narodowym. Z innych zgoła pobudek urodził się także fanatyzm u dołu. Ale tak tam, jak tutaj — czynnik ujemny — nieuczciwość, robią swoje. Szczegółowe rozpatrzenie pobudek i uczuć nurtujących w społeczeństwie, wyjaśni dokładniej stan obłędów — rozpatrzenie to jednak musi być przedmiotem artykułu następnego.

T. S.

FRANEK.

Szkic z teatralnego życia

Był maszynistą, inspicyentem, afiszerem, zamiataczem, statystą i Bóg wie czem już nie był. W towarzystwie, do którego składu należał, spełniał wszystkie funkcye — a gdyby to potrzeba, mógł nawet „pokazywać bogów“ t. j. przedstawiać nieme lub kilkowyrazowe role. Był najniezbędniejszym rekwizytorem towarzystwa.

Franek, zmianę! Franek, potrzeba laski na scenę, Franek, po jakich ja słowach wchodzę? — Franek, dzwonić, Franek, do kurtyny! — To „Franek“ „Franek“ — na wszystkie tempa, wywołane, i wszystkimi rodzajami głosów - rozbrzmiewało zawsze podczas spektaklu po scenie, kulisach i garderobie małego prowincyalnego teatru. A on, mały, suchy z twarzą pergaminową, długą a płaską bez wyrazu, pomiętą, z twarzą głodomora: o tonie brudnym, popryszczonym wyrzutami — kościach policzkowych dziwnie zapadniętych, o czole niskiem cofniętem przy skroniach wtył, poplamionem żółtemi plamami, zaczerwienionem zawsze. Ubrany w jasne palto wypełzłe i zniszczone — w sztylpach lakierowanych imitujących długie buty — zawsze w jakiejś żokiejce na głowie, biegał bez odpoczynku od aktora, któremu pomagał robić brzuch z poduszki, do dyrektora, który, na pół ubrany wyglądał przez otwór w kurtynie na wchodzącą publiczność, — a któremu do samego wyjścia na scenę trzeba było szukać jakiejś części garderoby. Tam potrzeba było wylecić z kijem przed teatr, rozpędzić bandę hałasujących żydziaków, tu przynieść amantce jeden z trzech kufli piwa, bez wypicia których nie grałaby, przykręcić lampy i lecieć szybko do kurtyny, aby ją pociągnąć — „a uważnie błaznie na gazy, mówię ci sto razy“, jak co spektakl — powtarzał dyrektor i znowu biedz — brać — scenaryusz w rękę i mieć na pogotowiu wszystkie drobne rekwizyty. — Tak — bo był i rekwizytorem — Brał po dwa rs. od przedstawienia za dostarczanie wszystkiego, co tylko było potrzeha do ubierania sceny. Wyręczał także reżysera, a mianowicie wtedy, kiedy to publiczności słabo reprezentowanej trzeba oznajmić, że „z powodu pustek w kasie, teatr zamyka się“ — Spełniał to ostatnie nie z przyjemnością — bo wiedział, że po takiem odwołaniu przedstawienia — dostanie tylko połowę kosztów i nic z działów na swoje trzy marki. Towarzystwo grywało na działy, których lwią część zabierali — Dyrektor z Simonką. naiwno-liryczno-operetkowo-gabinetową primadonną, ojciec dramatyczny i komik-nieporównany „kańciarz“, bo pierwszy armant — wspaniałe, modnie ubrane bydlę, był „krowienturą“ świeżą jeszcze, przeto mało płatną. Swoją drogą

Sztuka stosowana do rękodzieł i przemysłu.

Powiadają, że Sztuka uszlachetnia człowieka, że jest jedynym środkiem wykształcenia w narodzie poczucia piękna — że wreszcie ta piękność dobrze pojęta i zrozumiana staje się dla ludzkości zbawienną, że jej daje swobodę bytu i czyni naród tem, czem on być w rzeczywistości powinien. — Są to dziś ogólnie przyjęte zasady, wkorzenione w narody cywilizowane i dziś każdy niemal to wie i czuje, że rządy — że panujący nie dla pychy pokazania swej wartości materyalnej otaczają się przepychem piękna. budują wspaniał pałace, teatra, muzea, galerye obrazów etc. ale czynią to dla użytku publicznego aby spełnić obowiązek dania sposobności wielu w narodzie wykształcenia w sobie ideału piękna, które to poczucie niezaprzeczenie łagodzi obyczaje narodu — uśmierza namiętności a myśl zwraca do wyższego celu po nad poziom zwykłych materyalnych potrzeb egzystencyi.

A jednak, zwiedzając te wielkie miasta, w których na pozór zdawało by się wszystko jest zrobione, aby ten zmysł estetyczny obudzić i ożywiać przez przykłady arcydzieł sztuki - widzimy — że i w tych miastach jest brak wielki ogólnego uszlachetnienia — a w niższych warstwach czuć ogólny brak poczucia piękna, i wszelkiej harmonii tak w zewnętrznem jak w wewnętrznem urządzeniu siedzib swoich a nawet często i ci, którzy wszystkie paragrafy estetyki i artyzmu stosowanego do potrzeb człowieka na palcach by wyliczyć mogli, w życiu swem prywatnem — w urządzeniu swoich mieszkań byli uosobioną obojętnością i celowali brakiem tego poczucia piękna dla siebie, które innym z taką erudycyą i znajomością rzeczy wygłaszali.

Wtedy słusznie zapytać się możemy, że jeżeli wszystkie te monumentalne budowle i wszystkie arcydzieła rzeźby i malarstwa, ktore po wielkich miastach widzimy nie żdziałają tyle co jedna myśl krawca lub modystki aby sztuka stała się modą i potrzebą ogółu — i jeżeli te arcydzieła — ci profesórzy estetyki pozostaną bez wpływu na ogół — po co i na co się to wszystko robi — na co zakupujemy piękne okazy starożytne — na co budujemy i urządzamy muzea, teatra, kościoły, które miliony kosztują? czy tylko dla kilkuset młodych artystów lub badaczy, którzy jako turyści je zwiedzają, lub też dla garstki ludzi szczególnie od natury już talentem uposażonych? Czy te wszystkie usiłowania są tylko złudzeniem, że ogół to odczuje i powoli wykształcić się potrafi? Czy ta sztuka i piękno będzie zawsze tylko bułeczką z kawiorem dla ogółu ludu, który bądź co bądź sam tak wielkie płacąc podatki, przyczynia się do urządzania i stawiania tych przybytków sztuki i piękna?

Wielu już odpowiadało na powyższe pytania, twierdząc, że sztuka dopiero wtedy może się w ogół narodu zakorzenić, skoro całe państwo, całe życie towarzyskie nabierze innych form, skoro nastąpią lepsze czasy, że wreszcie sztuka to rzecz zbytku, przystępna tylko dla tych, ktorzy mają na to. Ta i podobne odpowiedzi zadawalniają tylko pozornie, prawdą jest to jedno, że aby nastąpiła zmiana na dobre, poczucie piękna powinno wchodzić w naród ze wszech stron równocześnie, że tak mali jak i wielcy wspólnie nad tem pracować winni, a tak bogaci jak i ubodzy dokładać muszą starania, aby poczucie piękna wyrabiać w sobie i powinni dążyć do przekonania, że sztuka jest bez zaprzeczenia w życiu najprzyjemniejszą i najwięcej pouczającą towarzyszką, że im przystępniejsze będzie wy-

---

Franek spełniał tyle uciążliwych obowiązków bez szemrania. Był wszędzie, gdzie go tylko mogli potrzebować. Zdawał się dwoić i troić, aby tylko nastarczyć. Szturchańce, bo i to go spotykało od zniecierpliwionych, kaprysy, dzikie popędy zdenerwowanych, szydercze uwagi, wszystko to znosił z niewyczerpaną cierpliwością, Zdawał się nie mieć krwi i nerwów w sobie. Tylko czasami, gdy mu kto za bardzo dokuczył, lub za boleśnie pociągnął za włosy, oczyma błyskał żałośnie, lecz milczał. Ach, te oczy! co one tam robiły pod tą nieforemną, przykrytą żółtawą czupryną, czaszką? — Takie wielkie, barwy najciemniejszego lazuru, a wiecznie pokryte jakąś zasłoną szklistą — jakby łez zastygłych. Zdawało sie, że ich światło skierowane jest wewnątrz — w jakieś przepaściste głębie ducha. Z powodu tych oczów cierpiał najwięcej od amanta, który miał małe głęboko schowane i bez wyrazu i koloru oczy.

— Co takiemu bydlakowi po nich? — mawiał — gdyby człowiek miał podobne to — no!... To „no" było wypowiadane z jakiemś rozmarzającem mrugnięciem i miało głęboko sięgające znaczenie.

Franek pomimo wszystkiego trzymał się tego jednego towarzystwa od lat kilkunastu. Przywiązywał się do wszystkich, którzy w niem byli czas jakiś, a szczególniej do dyrektora, u którego ojca zaczął swoją artystyczną karyerę — może z marzeniami o sławie? z duszą przepełnioną pragnieniem grania Hamletów, Learów i t. d może! — to tak dawno. Mówił, że już nie pamięta, gdy go jaki nowicyusz zapytywał. Pogrzebał przeszłość tak głęboko z jej porywami, tęsknotą, nadziejami, że chwilami naprawdę nie wiedział, czy istniała kiedy. Był pogodzony z dolą; na nic nie czekał, niczego nie pragnął. Żył z dnia na dzień, z godziny na godzinę, aby dalej. Zadzwonią, kurtyna zapadnie i sza — bez bisów — jak się raz, odezwał.

Zresztą był milczącym, nie lubił rozprawiać. Bo i czem? Ani słuchał rozmawiających. Co go to wszystko obchodziło? Miał robotę — robił, nie myślał, nie miał — szedł z suflerem Zmarzlakiem do knajpy i grał dniami całemi w domino — i także nie myślał. Brakło partnera, albo był za bardzo spity — szedł spać, ot i wszystko!

Objętność jego była niezmordowaną, przywiązanie bezinteresowne, odwzajemniano mu się nieraz na różny sposób. Nie wielu co prawda — widziało w nim człowieka, tylko jakieś popychadło, automat, usługujący równie dobrze i pośpiesznie tak za kułaka, jak i za dziesiątkę.

Sensacyę zrobił pewnego razu na próbie. Bohaterka, wypełniająca prywatnie obowiązki dyrektorowej, przyszła na próbę w złotym humorze.

— Franek! piwo. W tej chwili prawie postawił przed nią kufel. Knajpa była obok. A ona, skończywszy pokazywanie wszystkim pierścionka, jaki dostała na wczorajszej bibce, robiła tak zawsze, za-

kształcenie ogółu na tem polu, tem łatwiej i żywotniej wejdzie to poczucie w cały naród.

Z tego powodu opieka nad wprowadzeniem poczucia piękna do rzemiosł i przemysłu nie powinna być w narodzie zaniedbaną, a szczególnie u nas, gdzie tak wiele jeszcze potrzeba, nie same arcydzieła sztuki, malarstwa, architektury i rzeźby nie same muzea i zbiory wystarczą na to aby to zamiłowanie do piękna w narodzie obudzić, potrzeba; na to nauki wprowadzonej w ogół narodu, przystępnej dla wszystkich, aby powoli za jej drobną pomocą zasiewać ziarno, które dopiero po wielu latach dobre wydać może owoce.

Są narody południa, które z natury obdarzone są poczuciem piękna, już to przez wpływ zabytków sztuki które u siebie posiadają, już przez otoczenie i ciągłe przypatrywanie się pięknej naturze, która tworząc przepyszne zestawienia barw i harmonię kolorystyczną, wpływa dodatnio na cały naród. My narody północy szarego nieba, które bądź co bądź nie jest bez barw i uroku, możemy dojść do poczucia piękna tylko za pomocą odpowiednich szkół Nauka piękna jak każda nauka zaczynać się musi od najłatwiejszych najprzystępniejszych rzeczy. Dziecko uczy się od chwili rozpoznawania przedmiotów patrzeć na wszystko, co je otacza i to jest w samych początkach podstawą jego wiedzy. (C. d. n.)

T. Rybkowska.

KULT TEATRALNY.

Znany paradoksista niemiecki, Max Nordau, w ostatnim swoim utworze o „Zwyrodnieniu“, pisze w sposób następujący: „Cechą, znamionującą niezdrowe prądy i dążności literatury współczesnej, oraz sztuki, jest bałwochwalcze hołdowanie społeczeństwa pewnym ideom, zasadom, kierunkom, urojonym przez autorów, którzy przy głębszem badaniu zupełnie na to nie zasługują.“ W pracy swej przytacza Nordau z każdej gałęzi sztuki, czy to malarstwa, czy muzyki, czy też literatury, jeden talent wybitny lub więcej a mianowicie: Wagnera, Tołstoja, Ibsena i innych. Stosownie do tych kilku wybitnych autorów, twierdzi Nordau, że umieli oni wywrzeć na społeczeństwo takie wrażenie i tylu w nim zyskali adeptów i zwolenników, iż wytworzyli dla siebie pewien rodzaj kultu quasi religijnego, t. j. ludzi, którzy, faworyzując jednego z ulubionych i przypadających im do gustu autorów, po za tem na wszystko stronnie się zapatrują. Kult ten, stosownie do tego, do jakiego autora on się odnosi, nazywa Nordau: Wagnerismus Tołstoismus, Ibsenismus i t. d. W tłomaczeniu polskiem znaczyłoby to tyle, co Wagner i jego kult, czyli jakie wrażenie wywiera Wagner i jego muzyka na społeczeństwo, ilu w nim znajduje zwolenników i wyznawców. To samo stosuje się w równej mierze do Tołstoja, Ibsena i innych.

Do tych objawów społecznych i przykładów, zupełnie trafnie przytoczonych przez Nordau'a, możnaby również dołączyć obecny kult teatralny, to znaczy gorączkowe w społeczeństwie dzisiejszem zajęcie się teatrem, kult dla autorów dramatycznych i formalną apoteozę artystów.

Teatr bezwątpienia w społeczeństwie ważną odgrywa rolę i jak słusznie któryś z Cezarów rzymskich powiedział, krajowi i narodowi trzeba dać w równej mierze: „panem et circenses“. Zastanówmy się jednakże, czy ten kult teatralny, rozważany krytycznie, nie przedstawia stron ujemnych, czy przedewszystkiem kult dla artystów, odtwarzających tylko uosobnione przez autora typy, nie jest za wielkim i nadto wybujałym? Najlepiej dowiodą nam tego przykłady, z życia wzięte.

Dajmy na to we Włoszech jakiś biedny, prosty, niewykształcony człowiek, którego matka-natura hojniej od innych śmiertelników obdarzyła słuchem i talentem muzy-

---

wołała go w kulisę i wspaniałomyślnie zaproponowała, aby tię przeniósł na mieszkanie do jej kuchni.

— Bo ty podobno nigdzie nie mieszkasz?

— E—e— mieszkam proszę pani dyrektorowej. Lubiła ten tytuł.

— Gdzie?

—Tam na Olejnej. Pani dyrektorowa nie wie, mieszkamy ze Zmarzlakiem razem.

— To bydlę rozpoi cię.

— Cóż to szkodzi, proszę pani?

— No tak, tak — ale u mnie nie możesz być pijanym.

— Dobrze, nie będę pił — wszystko mi jedno. I ucałował na podziękę ręce kandydatki na dyrektorową.

— Sprowadź się zaraz.

— Dobrze.

Akurat ktoś go potrzebował posłać do szewca i w tym celu ściągnął nawet z nóg kamasze, którym na gwałt pomoc dać należało i, siedząc w kulisie, głosem tylko miał brać udział w próbie.

— Franek, zaniesiesz, widzisz, niech ci na poczekaniu zrobi.

Franek przybrał stanowczą minę i powiedział, że niema czasu, nie pójdzie.

— Dla czego, małpo nie pójdziesz?

— Bo przeprowadzam się.

— Zkąd — gdzie?

— Od Zmarzlaka do dyrektorowej.

— Ha! ha! — Franek się przeprowadzą, ha! ha! wybornie! — przeprowadza się.

— Połamani bohaterzy i draśnięte szpicem Kronosa bohaterki. Proszę o głos! Hołota, — cichoże, bo chcę powiedzieć coś arcy wesołego.

Uciszono się.

— Oto! powiadam, że nassa Esmeralda, vel Simonka bierze sobie oto tego Quasimoda na stajnię — czyli inaczej mówiąc językiem dla was zrozumiałym, nasze factotum — mówiący słynął z wyszukanych zwrotów i porównań w mowie — przeprowadza się słyszycie — zaangażowała go przed chwilą do wszystkiego — i przeprowadza się.

— Faktora chce mieć pod ręką, obrońcę, parawan, kasyera.

— Kupiła by sobie lepiej nowy garnitur zębów, bo starym wczoraj o mało się nie udławiła.

— Czy pani chcesz nabyć stary? Będę pośredniczył, może odstąpi po zniżonej cenie, jako dla istotnie potrzebującej szepnął z galanteryą zjadliwą „charakterystyczny“.

— Oh! pan jesteś...

— Zachwycającym! podsuflował cicho:

— O nie! raczej chwytającym „benbenków“ na karty. D. c. n.

W. S. Reymont.

cznym, napisał dosyć melodyjną operę; świat więcej się nim zajmuje, niż największym bohaterem, ministrem lub filozofem. Opera jego w całym świecie w krótkim czasie jest znana, owacyom dla kompozytora niema końca i miary. Gdziekolwiek zapowiedziane jest wystawienie nowej opery autora, który pierwszym utworem zyskał uznanie i zwolenników, tam zjeżdżają się przedstawiciele sztuki, prasy, inteligencyi, jakby chodziło o kwestye pierwszorzędnej doniosłości.

Drugi przykład. Któryś z nowoczesnych realistów, werystów, czy naturalistów, napisał tragikomedyę, gdzie przedstawia wszystkie prawa i skutki dziedziczności a la Lombroso; sztuka kończy się zazwyczaj wiarołomstwem, morderstwem, samobójstwem, lub zboczeniem umysłowem. Życie ludzkie, odtworzone jest w najsmutniejszych epizodach bez iskry nadziei i wiary w przyszłość. Sztuka taka pomimo tego chętnie jest widziana na scenie, tłómaczona na wszystkie języki, gdyż autor umie grać na nerwach publiczności, a publiczność gustuje w rzeczach ostrych, działających na zmysły i wyobraźnię. O autorze rozpisują się dzienniki; o jego talencie, kierunku i tendencyach dyskutują wszyscy, zaliczający się do inteligencyi.

Jeszcze jeden przykład. Śpiewaczka lub artystka dramatyczna ma jakąś idée fixe popisywania się w rolach głównych swego repertuaru, udaje się zatem w podróż artystyczną po całym świecie, występując w swoich popisowych rolach, nie dbając o resztę kompletu teatralnego, byleby siebie, swój głos, swoje wdzięki uwydatniać, i zrobić majątek. Publiczność przyjmuje owacyjnie taką artystkę, widząc w niej jakąś przedstawicielkę sztuki, idei. Gdziekolwiek się pokaże, gdzie wystąpi, prasa się o niej szeroko rozpisuje, ludzie poważni na wybitnych stanowiskach uważają sobie za honor i zaszczyt być w towarzystwie tej primadonny, komentują interviewy, które z nią mieli; jednem słowem, artystka, która czasem pod względem umysłowym i moralnym niewielką przedstawia wartość, doznaje większych hołdów i względów od ludzi zasłużonych na polu wiedzy, pracy i czynu. Bardzo pouczające pod tym względem są wszelkie benefisy, urządzane na cześć znanych artystów lub artystek. Benefis artysty lub artystki, cieszących się pewnem powodzeniem, tak ważną odgrywa rolę w gronie ich zwolenników, iż uważanemby było za rzecz całkiem, niepojętą opuścić benefis Lucci, Patti lub innej gwiazdy scenicznej.

Przykładom tym, które wszystkie wziąłem z życia codziennego i stosunków społecznych, nie można stanowczo zaprzeczyć; świadczą one, że kult teatralny, hołd składany autorom i artystom teatralnym, jest symptomatem niezdrowym dzisiejszego zwyrodnienia.

Gdyby rzeczy dawane w teatrze, sztuki przedstawiane na scenie, wypełniały swoje zadanie; gdyby działały umoralniająco na ogół, i teatr był tem dla społeczeństwa, czem akademia dla młodzieży, artyści profesorami z przekonania i z pewnym celem wyższym, — w takim razie a tout seigneur tout honneur, lecz postawmy kwestyę jasno. Grecya, Rzym, kraje i narody początku i rozwoju klasycyzmu, zawsze hołdowały sprawom teatralnym i motto teatru rzymskiego było „Teatrum ridendo castigat mores". Obecnie rzeczy przedstawiają się inaczej. Czy na poprawę zwyczajów, błędów i wad społecznych teatr tak znacznie oddziaływa? Szukamy w teatrze czego? rozrywki, po chwilach nużącej pracy - jakiejś myśli kojącej, sprawiającej nam zadowolenie, dodającej nam otuchy, a znajdujemy częstokroć w teatrze bardzo poziome rzeczy, t. j. faits divers, czyli sceny wzięte z życia codziennego, których mamy aż nadto dosyć, albo przeprowadzenie studyum psychologicznego, kończącego się zabójstwem lub obłąkaniem. Wrażenie jakie tego rodzaju przedstawienie na nas sprawia, musi być więcej przygnębiające, deprymujące, niż pouczające i podnoszące na duchu. A pomimo tego, czemu temu teatrowi tak bardzo schlebiamy, czemu w nim szukamy rozrywki i zabawy, czemu przedstawicielom tego teatru takie składamy hołdy i do nich takie przywiązujemy znaczenie? Nordau powiedziałby: to cecha, stigmat fin de siécl'u. Mojem zdaniem, społeczeństwo, stojące na stopie wysoko rozwiniętej kultury, która w czasach ostatnich tak szybkie zrobiła kroki na drodze postępu i tyle różnych przeszła ewolucyj, szuka, jak smakosz w ostro zaprawionych i korzennych potrawach, również przedstawień działających zmysłowo na słuch, nerwy i wyobraźnię. W każdym razie obecny nadmierny kult teatralny jest niezaprzeczonym dowodem chorobliwych wpływów dzisiejszej cywilizacyi.

NA DRODZE.

Co to jest poeta? Jest to istota, obdarzona pięciu zmysłami zwykłemi, a nadto—szóstym jeszcze—bezimiennym, nieuchwytnym, a mającym się do zmysłów zasadniczych tak, jak barwa do płatków lilii, jak dźwięk do strun liry, jak żywe słowo do martwej myśli. Szósty ten zmysł stanowi integralną część natury człowieka, o którym mówimy, że jest poetą, stanowi on pryzmat, w którym załamują się kolejno fale jego wzroku, słuchu, czucia i myślenia, unosząc do obrazu, który wytworzyć mają atomy, istotę tego pryzmatu składające. Obraz taki uderza nas farbami, o których nie podobna pomyśleć, że zdjęte zostały z palety przez malarzy — wyrobników codziennie używanej, dźwięczy tonem, którego w kompozycyach „artystów podwórzowych" nie dosłyszemy nigdy. A jednak poeta rozporządza niekiedy paletą, w barwy ubogą, gra czasami na kilku tylko strunach, a są to barwy i struny te same, które pod ręką profanów rażą nas raczej, a nie zachwycają. Więc czaru używa? Nie, posiada tylko ów szósty zmysł, który nazwiemy intuicyą poetycką. Tonem będzie tu myśl, barwą — słowo. Jeżeli więc dwa te pierwiastki zlewają się w harmonijną całość, wywołać muszą w duszy ludzi, piękna chciwych, cały szereg wrażeń poetyckich, wzniosłych, idealnych. Jeżeli nadto lirą poety jest serce ludzkie, a siłą, która palcami jego porusza — wielka, potężna, niezmierzona miłość dla ludzi, natenczas pieśń jego ma wagę i tchnienie proroctwa, które jednych przeraża i ku drodze prawdy i dobra zwraca, innych — do łez wzrusza i na drodze tej utwierdza . . .

Poetką jest Marya Konopnicka.

To też nic dziwnego, jeżeli wszystkie znamiona poezyi spotykamy znowu w zbiorku jej nowel, objętych tytułem „Na drodze".*) Odnajdujemy tu wszystkich niemal dawnych znajomych poetki, znajomych, których szuka sobie po samotnych drogach wioskowych, w suterenach wąskich, odległych uliczek miasta, wśród kęp i szuwarów — wszędzie, gdzie czujnem uchem dosłyszeć zdoła westchnienie, lub sercem domyśli się strasznego tragizmu ciężkiej, biedaczej doli. A powiedziawszy sobie: . . . przez ciebie przepływa strumień piękności . . w duszach tych ludzi, z których jeden — drugi bez koszuli w świat idzie, których głód do snu układa, a tylko dobra ziemia czasem chlebem gorzkim

*) Nowele i obrazki. Nakładem G. Gebethnera i S-ki. Kraków. 1894.

nakarmi, piękna tego szuka i znajduje je w jego pierwotnej formie.

Zna staruszkę, którą na świat wywiódł Stworzyciel „jak tę płonkę leśną“ (U źródła) którą „janioł czytać uczył, jak zwyczajnie sierotę“, która krzyżem przez nieszpór leży, a Panu Jezusowi dziękuję za to, że jej „tę naukę dobrą dał: wszystkie jakie ino gdzie książki czytać pozwolił.“ Wszystkie, jakie ino gdzie, a wszystkie mówiły o Bogu — Ojcu, a Synu Zbawicielu, o Duchu Świętym — a więc o samych rzeczach mądrych, wielkich, i poważnych, rzeczach, dla których, gdyby ich „dość było“ ludzie poniechaliby zajęć swoich codziennych, „ciągnąc za nimi, jakoby za miodem.“ „Bo książka — to wielka rzecz jest!“ — Dziś w wieku zupełnego nieposzanowania, lekceważenia prawie czarnych czcionek druku, w wieku niewiary, zwątpienia, smutnego pesymizmu rzadko gdzie zdanie takie usłyszymy. Ale zdjęła je poetka z ust babki, która na „Zanielską“ do Kalwaryi pątuje, z tego, co boli, wzrosła, a radości tyle zaznała, ile jej w tych starych, świętych książynach było. Wszystkie te uczucia, po których w sercach naszych ledwie popiołu trochę zostało, żyją w sercu ubogiej pątniczki — nienaruszone w sile, cierniami sierocej doli nierozdarte, czyniąc ją, wiekiem przygarbioną, młodszą od młodych, ją — nędzarkę — od możnych bogatszą. Warto, oj warto było napić się u źródła tego tyle wiary, tyle ufności, tyle prawd naiwnych, po które coraz rzadziej do Ewangalii sięgamy, boć coraz mniej mamy — czasu...

Znajomi p. Konopnickiej biorą życie takiem, jakiem jest. Ni to złe, ni dobre — ot życie. Pożyje człek, umęczy się, to i zemrze. Tylko, że spieszno mu do tej śmierci, do tego spokoju, którego nie zaznał, do tych „wczasów miłych“, które za znojną, krwawą walkę, jedyną są mu nagrodą. (W dolinie Skawy). „W ciemny grób idzie, jak do ojca, matki“ i bać się już nie będzie, ani smucić, ani chleba łaknąć, ani dobytku. Wypocznie. I znowu — śmierć ta ani groźna jest, ani zła. Jest. Studzi się człek, walkę przewalczy, — to i pilno mu do tego snu, z ktorego nie zbudzi go już nie głód, ni mór, ni choroba nijaka. W śpiewie matki, odprawadzającej na to wieczne spocznienie zwłoki syna, żałości nie dosłyszysz. Boli ją to, bo boli — ale ani skarzyć się będzie, ani narzekać. „Bom ci proch, a glina jest, do ziemi się wracam, a w co byłem z naczątku, znowu slę obracam“. Naturalnie to, konieczne, ani złe, ani krzywdzące. Toż syn jej do drugiej matki idzie, „do matuchny ziemi“, jej więc z rezygnacyą kochanie swoje odstąpi, ufna, że na łonie dobrej rodzicielki dziecię jej spać będzie cicho, spokojnie, jak spokojnie... Rezygnacyi takiej uczy tylko prawdziwe zrozumienie życia.

Obok naiwnej wiary i tej prostej filozofii życia, maluczcy ci mają jeszcze jedno wielkie uczucie — miłość. Miłość dla ziemi, która ich karmi, odziewa, pociesza, a potem, gdy bój minął, przygarnia, przytula. Ziemię tę kochają ze wszystkiem, co na niej jest, wdzięczni jej są za wszystko, czem ich w dobroci swej darzy. I żalu nie mają, gdy daje mało. Głupi Franek, w noweli tegoż imienia, co to „niewiadomo jak nad rzeką porósł“ wie, że mu ta matka jego dużo dać nie może, bo sama w biedzie. Rybki musi pożywić, i tratwy ponieść i kawał drogi obejść i na tę siną świtkę zarobić, „strugi modre po nici zbierając i na srebrnym wrzecionie przędąc....“ Więc dość, jeśli mu rybę jaką taką podrzuci i w sitowiu swojem przespać się pozwoli. I drogą mu jest za to, podobnie jak drogim mu jest bór — ojciec, drogimi — zapachy świeżej ziemi na wiosnę, i deszcze ciepłe, których, gdy na młodą ruń padają, słucha jak urzeczony, tłómacząc, że to „ziemia gada.“ Powiada żywym, „co od kości umarłych usłyszy“, powiada „że chleba da głodnemu, wody pragnącemu, lnu i konopi nagiemu, ziołów niemocnemu“... I jak jej tedy nie kochać. Toteż głupi Franek płaczem się zanosi i głośnem szlochaniem na widok wyprzedającego się z swego gruntu gospodarza. Nie pojmuje, jak tę ziemię świętą, ten lemiesz, który tyle chleba dobył, tę płachtę, co z niej ziarno boże siewano — niemcowi odprzedać można. A gdy widzi, że jednak można, że nie wszyscy, jak on, gniazda swoje kochają, pełną tragizmu ironją woła do niemca: „Dalej, wszyściutko przedajem! kupujta tę mądrość niebieską, ten krzyż przy drodze, te mogiłki!“ i zmówiwszy nad sprzedanym dobytkiem modlitwę bezsilnej rozpaczy, wraca do swojej rzeki... Tak po wsiach naszych kochają „głupi“, poeci, filozofowie, mędrcy ludowi, mało czem różni od proroków i wielkich reformatorów ludzkości.

Za tą ziemią naszą, za zapachem jej łąk skoszonych, za szumem jej wichrów, za szmerami jej zbóż, za śpiewami jej skowronków tęskni i usycha żebrak — Antoszek, (Na werendzie), wydziedziczony przez brata wygnaniec, który wrócił, jak sam powiada, „na śmietnisko hańby braterskiej“. — Ziemia, ziemia, szmat ziemi, a nad nią — szmat nieba, — nic ot — a wszystko, wszystko! — Więc by się godnymi stać tego bogactwa — „wy tu, jak święci chodzić powinni po ziemi, a rość a olbrzymieć duchem, jak tam olbrzymiejecie tęsknotą“. Tam — na wygnaniu, gdzie jęki nasze mieszają się z jękami wichrów, skarzących się po stepie, gdzie serca nasze, skute w kajdany szatańskiej nienawiści — lodem by zamarzły, gdyby nie grzała ich ta miłość wielka dla naszych łąk, lasów, wód...

„Mendel Gdański“, „Jakton“, „Na rynku“, „Na drodze“, „Stara szkapa“, noszą na sobie stempel tego samego wielkiego serca, które we wszystkich warstwach, na każdym szczeblu społecznym, odkryć umie poezyę, dobro, ukochanie ideału. I czyż dość dziękować można wieszczce za ten sznur pereł, na ołtarzu myśli ludzkiej świeżo zawieszony? Przebierasz te perły i... śni ci się baśń stara o pieśni owej, co sama po ziemi chodzi, oczy ślepe ma i wyciągnione przed siebie ręce. Gdyby jej nie było, żadna mogiła nie porosłaby zielem, a na ołtarzu gasłyby paschalne świece. Na kogo się natknie, ten za nią iść musi i tak, jak ona śpiewać....

Malwina Posner-Garfein.

WOLNE MYŚLI.

(FEJLETON.)

Najmilszym i najaktualniejszym przedmiotem rozmów w kołach towarzyskich jest dziś oczywiście W y s t a w a. Ważny to objaw. Świadczy bowiem nie tylko o żywotności zapoczątkowanej myśli i urzeczywistnieniu jej, ale i o tem, że dzieło to było p o t r z e b n e, że odpowiada wielu a różnorodnym życzeniom. Ambicya odgrywa tu także niepodrzędną rolę.

Jeżeli wystawa jest wyrazem ambicyi zbiorowej, — tem lepiej, tem chwalebniej.

Karność!! nawoływano u nas zdawna. Wołano nie napróżno! Wystawa to także jeden z objawów karności narodowej i społecznej. Jeżeli społeczeństwo pojmie myśl, przyklaśnie jej, ale do dzieła nie przyłoży ręki, nie uczyni żadnej ofiary — to widać niedojrzało jeszcze. Ale skoro dojrzy cel, wytknięty jasno i nie troszcząc się o szczegóły, pospieszy z gotowością zbiorową, wówczas społeczeństwo to nazwiemy karnem.

Pokonać antagonizmy—zadanie niewątpliwie trudne i zwłaszcza u nas niepodobne prawie do spełnienia. Ale stłumić antagonizmy tak, by dzieło zbiorowe było syntezą wszystkich usiłowań by górowało wysoko po nad powszedniemi animozyami ludzkiemi. to już znaczne plus w naszym bilansie społecznym.

Manifestować się i protestować gardłem i językiem, umieliśmy. Postawcież państwo dziś nasz manifest, zaznaczony czynem: wystawą i pomyślcie, czyśmy nie podrośli? Apatya przełamana — pesymizmy zmalały. Pierwsza winna być startą na pyłki i rozwianą tchnieniem, które zagrzewa przy każdej pracy ochoczej; drugie niech występują sobie w takich kątach, w którychby ich nie dojrzało oko przeciętnie dobrego Polaka.

* * *

Fundusz wystawowy otrzymał ponowny zasiłek w kwocie 6000 złr. od Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie. Odbyte właśnie w dniu 19 bm. walne zgrowadzenie Tow. wzaj. ubezpieczeń w Krakowie przyjęło do wiadomości z uznaniem, że Rada nadzorcza tegoż Towarzystwa przeznaczyła 1000 złr. na fundusz Wystawy, a 5000 złr. na fundusz gwarancyjny Wystawy.

Przy tej sposobności wypada zaznaczyć, że rok ubiegły należał do bardzo pomyślnych w rozwoju wszystkich działów Tow. wzajem. ubezpieczeń oraz Tow. wzajem. kredytu. W dziale tym obrót kasowy w r. 1893 doszedł do pokaźnej sumy czterdziestu pięciu milionów 912.876 złr. a zatem prawie do okrągło 46 milionów.

Referent działu ubezpieczeń na życie p. dyr. Cz. Kieszkowski, jakkolwiek stwierdził, że gałęź ta rozwija się dobrze, był wszakże zniewolony dodać, że u nas jeszcze braknie ogólnego pojęcia i doniosłości drobnych oszczędności.

Tak — jest to faktem. Nie pojmują tego przedewszystkiem młodzi ludzie, dla których wpłaty asekuracyi kapitałów są nader niskie. Inaczej w Anglii. Tam burze socyalistyczne nie mają tak groźnych następstw — bo istnieją tysiące instytucyi ubezpieczających. Każdy niemal robotnik jest asekurowany w jakiemś towarzystwie. Choćby więc na razie nic nie posiadał, wie, że po tylu a tylu latach, otrzyma kapitalik a po jego śmierci rodzina znajdzie zaopatrzenie.

* * *

Ciekawego i charakterystycznego materyału, do tak rozwielmożnionej w czasach ostatnich „frazeologii publicznej“ — dostarcza ostatnie posiedzenie Rady miejskiej.

Radny p. Jonasz wzywał przed kratki trybunału kontroli — drożyznę lwowską.

P. Jonasz przytaczał fakta i cyfry a odpowiedziano mu frazesami. Twierdził, dajmy na to, że to noc — a p. Mayer odpowiadał mu, że dopierc wieczór. Inny zaś radny potwierdzał wprawdzie za p. Jonaszem że dwa a dwa to cztery, ale odparł na to, że dwa a trzy - to pięć. Tak się walczy „gębą“ w sprawie żywotnej dla stolicy.

Mamy wielką ochotę zapytać kogoś, do kogo to we Lwowie należy, czy brak światła, ścieśnienie komunikacyi, utrudnienie wprowadzenia szerszych chodników itd. — należy do warunków hygienicznych? Zapytanie to nasuwa się samo przez się w obec faktu, że we Lwowie. wszystkie niemal świeżo zakładane ulice są niemożliwie wązkie. Najnowszy objaw tego budowlanego obskuratyzmu, mamy przy ulicy Szeptyckich, w tej części, która prowadzi wylotem do ulicy Solarni, od św. Jura. Ale to tylko najświeższy objaw. Dawniejszej daty obskurność mści się już i daje we znaki komunikacyi od ulicy Akademickiej ku ulicy św. Mikołaja. Tam po prostu przed kilku laty wlazła sobie kamienica na drogę i stanowi obecnie. piękny okaz zawalidrogi. Czy miasto nieposiada żadnych praw w usługach publicznej dogodności i zdrowotności?

Od spraw naszych, krajowych i lokalnych przejdziemy z kolei do ogólniejszych.

Jeden przyjaciół naszego pisma, uważnie nadsłuchujący gorączkowe i osłabione tempo życia dzisiejszych społeczeństw — nadsyła nam poniższe uwagi. które drukujemy z niewielkiemi zmianami i zastrzeżeniem, że zarysowuje się dość plastycznie reakcya przeciw tym objawom i prądom, które stanowią przedmiot omawiania naszego współpracownika.

* * *

P. W... K. pisze:

„Nikt chyba nie zaprzeczy, że wiek XIX jest najpraktyczniejszym ze wszystkich swoich poprzedników. Jest to epoka egoizmu, spekulacyj pieniężnych i wzajemnego antagonizmu między społeczeństwami. Ludzkość witała kończące się obecnie stulecie radośnie, spodziewając się od niego urzeczywistnienia wielu swych pragnień i nadziei.

Nie można powiedzieć, aby oczekiwania w zupełności zawiodły. Ile nowych odkryć i wynalazków dokonano w ostatnich czasach! jak wielkie zdobycze poczynił umysł ludzki we wszystkich prawie dziedzinach wiedzy? — trudnoby było zliczyć, tak ich jest wiele. Zdawaćby się mogło, że mamy dziś wszystko, co ludziom zapewnia szczęście i zadowolenie z życia. A tymczasem dzisiejsza ludzkość, ta zwłaszcza, która uważa się za najbardziej ucywilizowaną, jest apatyczną, nie zadowolną i zdaje się z niepewnością patrzeć w przyszłość. Coraz widoczniejszym jest przesyt życia. We wszystkich przejawach ludzkiego ducha: literaturze, filozofii, w życiu indywidualnem — wszędzie widzimy tę apatyę, niezadowolenie i niepewność jutra. Filozofia, gardząca życiem, rozpowszechnia się coraz bardziej. Narody przodujące dziś cywilizacyi, wytworzyły całą literaturę pesymizmu, który zyskuje gorących zwolenników i wyznawców, przyjmujących pesymizm za swą religię.

W całych prawie Niemczech, jak zapewnia E. Caro w dziele swem o „Pesymizmie“ powstają ustawicznie sekty wielbicieli Schopenhauera, które energicznie propagują idee swego mistrza. Członkowie tych sekt poznają się po pewnych obrzędach. Jest to, zdaniem autora, coś rodzaju masoneryi, dążącej do unicestwienia na świecie „miłości i jej iluzyj“

Wobec takich poglądów, nic dziwnego, że ludzie stają się egoistami i dążą wszelkiemi siłami do zapełnienia czemś tej moralnej pustki, która, ich opanowała. Sprawozdania lekarskie wykazują, że w całej Europie wśród wyższych warstw społeczeństwa rozpowszechnia się obecnie używanie morfini,

eteru i opium. Liczba samobójstw wskutek tego zwiększa się.

Na opróżnione po dawnych ideałach miejsce wskutek coraz bardziej wzrastającego materyalizmu ludzkość gotową jet hołdować lada głupstwu. Pamiętamy dobrze, jak przed kilku laty (w 1889 r.), zajmowano sie w Paryżu, ba! w całej niemal Europie buddyzmem. Można było przypuścić, że cały świat składa się z wyznawców tego proroka i czeka tylko odpowiedniej chwili, aby uznać go za swe bóstwo".

Z TEATRU hr. SKARBKA.

Nowa dyrekcya teatru hr. Skarbka, reprezentowana przez pp. Z. Przybylskiego i dra H. Szydłowskiego nie próżnuje, dając zarówno wyborem sztuk w dramacie, jak i dbałością o staranną i wypróbowaną grę artystów — dowód, iż nie zamierza — niewątpliwie naszej scenie pożądanej — reformy przeprowadzać połowicznie, lecz choć stopniowo — gruntownie.

O nowościach wystawionych pod kierunkiem i z inicyatywy nowej dyrekcyi szerzej rozpisywać się nie mamy potrzeby i racyi, albowiem i „Minowskiemu" Mańkowskiego i „Myszom bez kota" Jordana poświęciliśmy w naszem piśmie szersze i głębsze uwagi w swoim czasie, tj. wówczas, gdy sztuki te weszły na repertuar krakowskiego i warszawskiego teatrów.

Tutaj więc ograniczyć się winniśmy do zaznaczenia, że „Minowski" znalazł bardzo dobrego interpretatora w osobie p. Siemaszki, w „Myszach" zaś niezrównany komizm p. Fiszera miał w roli pachciarza Skopka pole do dużego popisu. Z tak zwanych „wznowień" stara, ale zawsze efektowna „Dora" Sardou, doznała powodzenia, dzięki wytwornej grze p. Stachowiczowej, której partnerowali godnie pani Żelazowska oraz pp. Żelazowski, Woleński, Hierowski, Fiszer. —

„Mściciel" (le Justicier) St. hr. Rzewuskiego był dla nas prawdziwą, wiele zapowiadającą premjerą. To cośmy jednak na scenie widzieli zawiodło nasze oczekiwania i poniekąd rozczarowało, gdyż nowa rzecz autora „Dra Faustyny", jest — że tak powiemy — jakby zamarkowaniem dekadencyi talentu autora.

Pana Rzewuskiego ceniliśmy, jako autora „Ostatniego dnia Donżuana", „Optymistów" i „Hrabiego Witołda", tem nieprzyjemniej nam stwierdzić przewagę stron ujemnych nad dodatniemi w „Mścicielu". Przedewszystkiem trudno nadać odpowiednią sceniczną nazwę sztuce p. R. Jest to z afisza dramat, choć Bogiem a prawdą pierwiastek seryo dramatyczny rozpływa się w morzu melodramatycznem.

Postaciom ojca i syna brak plastyki, tego, co w malarstwie nazywają wypukłością rysunku; są to raczej szkice charakterów, podmalowywania a nie charaktery pełne, psychologicznie wierne. Pomijając nawet specyalnie w tej dobie niesympatyczne dla nas tło francusko-rosyjskie, na którem rozgrywają się wypadki — to już samo niefortunne zadzierzgnięcie intrygi, niejasności sytuacyj i psychologiczne „kiksy" nie mogły uratować sztuki słabej w założeniu, a opartej przeważnie na nieoryginalnych efektach.

Mniejsza o poszczególne sceny, przypominające żywo to Daudeta, to nawet Ohneta, ale już samo źródło, z którego Sz. autor czerpie materyał do tylu aktów, jest dyabelnie stare. Miłość szalona, jaką do jednej kobiety pałają ojciec i syn (motyw zawsze niemiły, nieetyczny) przejawia się już, jako czynnik kierujący w dramacie Szyllera a nawet w naszej literaturze klasycznej (Mazepa).

Szkoda w każdym razie, że p. Rzewuski nie przyjrzał się grze artystów, którzy tak w ensemblu, jak i głównych rolach robili wszystko, gwoli ocalenia sztuki, ołówkiem reżyserskim dobrze okrojonej.

Panowie: Hierowski (ojciec), Żelazowski (syn) i Feldman zasłużyli na gorące pochwały obok pań Nowakowskiej i Żelazowskiej, z których ostatniej należy się jeszcze duże uznanie za przezwyciężenie trudności, leżących w odtworzeniu „dwoistości" postaci. —

O gościnnych występach znakomitej artystki pani Bar. Lüde, zainaugurowanych Sudermanowskiem „Gniazdem", nie mniej o stanie obecnym naszej opery, której personal nieliczny świeżo wzbogacił p. M. Szlaffenberg, — napiszemy w przyszłym numerze.

b. orn.

Ze stołu redakcyjnego.

Sewer. Nafta. Powieść. Warszawa. S. Lewental 1894

Mamy przed sobą dużą, bo aż z trzech grubych tomów złożoną powieść, co w naszych czasach jest rzadkością. Autorowie dzisiejsi piszą zwykle rzeczy krótkie, małe, drobne, bo może im tchu na większe nie starczy, a może w nerwowym wieku i w wieku pracy śpieszą się, nie mają wytrwałości, usiedzieć nie mogą przy pracy, wymagającej cierpliwości, zastanawiania się, obmyślenia wszechstronnego przedmiotu, no... i talentu.

Nikt nie wątpi, że Sewer ma talent; dał tego liczne w swoich pismach dowody. Talent to męski, jędrny, silny, a choć Sewer nie zyskał odrazu takiego rozgłosu i takiej sławy, jak wielu innych, którzy mu nawet do pięt nie dorośli, to z pewnością w literaturze, w jej historyi, zajmie to pierwszorzędne stanowisko, jakie mu się należy. Za przedmiot ostatniej swej powieści, o której tu mówić chcemy, wziął on „naftę." Już sama oryginalność pomysłu zwrócić musiała uwagę; to też, gdy powieść ta drukowaną była w feljetonie jednego z dzienników, powszechną zwracała uwagę i chciwie była czytaną. Odtąd mnożą się takie powieści, bo u nas, podobnie jak w kupiectwie, tak i w literaturze, naśladownictwo dobrego pomysłu kwitnie w najlepsze. Mamy więc już „Gorzałkę", mamy „Bawełnę", a tylko patrzeć, jak się ukaże „Cukier" lub „Glina." Przyszła moda na powieści fabryczne i przemysłowe, a modzie tej swą „Naftą" dał początek Sewer.

Teren to, że się tak wyrazimy, dotąd przez nikogo nie tknięty, a Sewer tak go opisuje, że mimowoli porywa nas gorączka nafciarska, ze drżeniem, z takiem samem wzruszeniem, jakie owłada Stefanem i Zygmuntem, Rębaczem i innymi robotnikami, i my oczekujemy złotodajnej ropy. Świat to całkiem nowy, nieznany nikomu, świat olbrzymiej gorączki, walk olbrzymich, niegłośnych co prawda, ale niemniej przeto krwawych i tragicznych. Te to walki i boje, te zwycięstwa i klęski, opowiada Sewer w swej powieści, a opowiada językiem jędrnym, nerwowym, rysami głęboko rytemi, które wdrażają się w pamięć czytelnika, pobudzają go do myślenia i każą pokłonić się talentowi autora. Tłem tej powieści jest natura górska. Sewer lubi naturę, a lubi ją po swojemu, po męsku, bez czułostkowości i uniesień, ala gdy nam kilku słowami skreśli las sosnowy, na skałach się piętrzący, to zdaje nam się, że w nasze duszne, miejskie powietrze wpadł strumień ożywczy, przesiąknięty aromatem żywicy sosnowej.

Jednem słowem, „Nafta“ jest powieścią bardzo dobrą, niekiedy znakomitą. Całość, pomimo licznych usterek, robi wrażenie duże, zajmuje czytelnika gorączkowo i każe uwielbiać talent autora, który urósł, zmężniał i uderza swą siłą.

* *Felka*, nowela Ignacego Dąbrowskiego. Nakładem Paprockiego. Warszawa. Autor „Śmierci“ wstępnym bojem zdobył sobie uznanie wśród czytającej publiczności. Jest to bezwątpienia pisarz dużego talentu, oryginalny w swej formie pamiętnikowej, która acz dziś zaczyna być szablonem — naśladowanym przez miernoty — u Dąbrowskiego posiada jednak zabarwienie indywidualne i jakiś wdzięk świeżości.

Treść Felki — to historya nieszczęśliwej miłości biednej dziewczyny do człowieka, który ją rzuca dla innej dziewczyny — kokiety. Felka spowiada się w listach swej matce z najdrobniejszych okoliczności, towarzyszących jej uczuciu pierwszej miłości a czyni to tak sympatycznie, szczerze, że czytelnika przejmuje żal i współczucie dla biednej ofiary.

Obecnie pisze p. Dąbrowski większą powieść pt. „Mistrz.“

Nowości. — „Miscellanea“, szkice i opowiadania Wł. Bełzy. Nakład Jakubowskiego i Zadurowicza, Lwów.

— Listy. A. E. Koźmiana.

— Nakład. Przewodnika nauk i literac.“ (w komisie księgarni Gubryn. & Schmidta).

* *Estrejchera dzieje teatrów i losy wydawnictwa.* Znakomity i niezmordowany bibliograf K. Estrejcher krząta się również i około historyi teatru. Jakoż uczony nasz wydrukował dotąd trzy tomy dziejów odnośnych od litery A. do L., co kosztowało go przeszło tysiąc reńskich, a sprzedało się ledwie 6 egzemplarzy. Był to jeden z powodów, dla którego dalej nie kontynuuje wydawnictwa szanowny bibliograf. ale ostatecznie, mimo takich strat materyalnych, nie rychło. może dopiero za lat kilka, do druku przystąpi. Materyał zgromadzony jest, już prawie na cały tom, nie zupełnie jeszcze kompletny; Poznań, Warszawa i t. d. są prawie opracowane, brakuje wszakże p. Estrejcherowi części anegdotycznej o aktorach. Estrejcher spodziewa się, że może mu kto i nadeszle takie np. nadające się szczegóły, jak o Syrokomli, Kirkorze, Majewskiej, Szlagierze. Deryngu, Leszczyńskiej, Półjanowej i innych i o stosunkach teatralnych. Bardzo też pożądanemi byłyby dla czcigodnego dyrektora biblioteki Jagiellońskiej i archiwalne teatralne materyały (treściwe wiadomości z kontraktów, ksiąg dochodów), tudzież wzmianki b. artystów, oraz odpisy z afiszów ówczesnych (tylko tytuły i obsada ról). Szanowny bibliograf poszukuje również broszury Marcyanny Morawskiej p. t. „Do całego dworzaństwa“ i t. d. od Antreprenerki prośba (folio, 1 arkusz) — pragnie mieć chociażby odpis jej. Sześć sprzedanych egzemplarzy (!) to wymowna ilustracya obojętności ogółu dla tak interesującego, a zasługującego na poparcie wydawnictwa. Wybitniejsi i zamożniejsi aktorowie nasi winni przecież dać piękny przykład; toż. gdy sami przejdą do drukowanej historyi, czyż zechcą, żeby tylko bibliografowie ją czytali? Skarżą się, że udziałem ich jest po zejściu ze sceny tonąć w zapomnienia fali, a takim nawet Estrejcherom nie chcą być wdzięczni.

KRONIKA.

*** Henryk Sienkiewicz pisze nową powieść na tle współczesnem.

*** Autor „Kresu“, świetnie zapowiadającej się powieści psychologicznej, (którą drukuje „Kurj. Warsz.“), Adam Krechowiecki, bawi we Włoszech razem z Michałem Bałuckim, którego ostatni utwór: „Zamki na lodzie“ drukuje „N. Reforma“.

*** „Świat“ ilustrowany organ wystawy krajowej, otworzył biuro administracyjne we Lwowie przy ul. Jagiellońskiej.

*** Nowa sztuka St. Rzewuskiego pt. „Tyberyusz na Caprei“ doznała sukcesu na scenie teatru Porte-Saint-Martin“ w Paryżu.

*** Teatr krakowski wystawił w ostatnich tygodniach: „Dziką kaczkę“ Ibsena i „Talizman“ Fuldy, w przekładzie p. G. Kempnera.

Przeciw „Dzikiej kaczce“ zaprotestowała goraco krytyka tz. „trzeźwa“.

*** We Lwowie zaczęło wychodzić czasopismo, poświęcone sprawom społecznym i gospodarczym, specyalnie zaś handlowi i przemysłowi pt. „Dźwignia“. Pismo to jest organem Tow. kupców i przemysłowców i zawiera w dodatku „Szkolnictwo handlowo-przemysłowe“. Redaktorem „Dźwigni“ jest znany ekonomista p. Z. Korosteński.

*** Zakład artystyczno-fotograficzny p. n. „Stella“ (Nikopoli'ego) przygotował na wystawę krajową doskonałe podobizny ludzi zasłużonych we wszystkich dziedzinach życia publicznego. Fotografie te oglądaliśmy i musimy przyznać, że opinia, jaką cieszy się zakład „Stella“ jest w zupełności zasłużoną. P. Nikopoli może śmiało rywalizować z pierwszorzędnymi fotografami europejskimi.

*** Zasłużonego dyrektora Wystawy p. Zd. Marchwickiego spotkały w tygodniu bieżącym dwa wypadki, które szczęściem nie miały gorszych następstw.

Oto, na powóz p. M. jadącego na wystawę, najechała dorożka i rozbiła go, dyrektor zaś wyskakując, uderzony łbem końskim w piersi, padł na bruk.

Tak w pierwszym, jak i w drugim podobnym wypadku p. Marchwicki nie poniósł ciężkich obrażeń, co z wielką radością, niewątpliwie przez ogół polski podzielaną, zapisujemy.

*** Znanemu rzeźbiarzowi p. St. Lewandowskiemu powierzyło ministerstwo spraw wewnętrznych wykonanie biustu śp. Grocholskiego. b. prezesa Koła polskiego, który stanie wśród dwunastu innych popiersi zasłużonych dla Austryi mężów, w sali pomnikowej parlamentu wiedeńskiego.

P. L. w tych dniach udaje się do Wiednia dla podpisania kontraktu.

Odpowiedzi od redakcyi.

P. Stan. F. Trudno, łaskawy panie, na takich kalumniatorów, środków właściwie niema, gdy winowajcy usuwają się z pod odpowiedzialności osobistej. To specyalność galicyjska.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Edmund Ostruszka. Z drukarni E. Ostruszki. Sykstuska 10.